

KSIĄŻKA AUTORA „TRYBUNAŁU DUSZ”

ŁOWCA CIENI

DONATO CARRISI



Przychodzimy na świat i umieramy, zapominając.

To samo przydarzyło się jemu. Urodził się po raz drugi, ale przedtem musiał umrzeć. Ceną za to było wymazanie z pamięci, kim był wcześniej.

Ja nie istnieję, powtarzał sobie bezustannie, ponieważ była to jedyna znana mu prawda.

Pocisk, który przebił mu skroń, zabrał ze sobą przeszłość, a wraz z nią jego tożsamość. Nie naruszył natomiast ogólnej pamięci i ośrodków mowy, toteż – rzecz dziwna – mówił różnymi językami.

Ten wyjątkowy talent do języków był jedyną pewną rzeczą.

Gdy leżał w łóżku w Pradze, czekając, aż odkryje, kim jest, pewnej nocy obudził się i obok łóżka zobaczył miło wyglądającego człowieka, który miał czarne włosy uczesane z przedziałkiem z boku i twarz małego chłopczyka. Uśmiechnął się do niego, wymawiając tylko jedno zdanie:

– Wiem, kim jesteś.

Te słowa powinny były uwolnić go od niepewności, ale stały się tylko wstępem do nowej zagadki, ponieważ w tym momencie ubrany na czarno mężczyzna pokazał mu dwie zapieczętowane koperty.

Wyjaśnił, że w jednej znajduje się czek na okaziciela na

dwadzieścia tysięcy euro i paszport z wymyślonym nazwiskiem, w którym brakuje tylko zdjęcia.

W drugiej znajdowała się prawda.

Mężczyzna dał mu tyle czasu na podjęcie decyzji, ile będzie potrzebował, ponieważ nie zawsze dobrze jest wiedzieć wszystko o nas samych. A on tymczasem dostał drugą możliwość.

– Dobrze to przemyśl – poradził mu nieznajomy. – Ilu ludzi pragnęłoby się znaleźć w twojej sytuacji? Ilu chciałoby, żeby amnezja przekreśliła na zawsze wszystkie dawne błędy, potknięcia czy cierpienia, żeby mogli zacząć na nowo, w dowolnie wybranym miejscu? Jeśli wybierzesz tę drogę, odrzuć drugą kopertę, nawet jej nie otwierając. Wierz mi, tak będzie lepiej.

Aby ułatwić podjęcie decyzji, wyjawiał mu, że tam, w świecie poza tymi ścianami, nikt go nie szuka ani na niego nie czeka. Ponieważ nie ma nikogo, z kim byłby związany uczuciowo.

A potem mężczyzna odszedł, zabierając ze sobą swoje tajemnice.

Natomiast on pozostał, żeby przez resztę nocy, a także następne dni przyglądać się dwóm kopertom. Coś mu mówiło, że w gruncie rzeczy nieznajomy już wie, co on wybierze.

Problem polegał na tym, że on sam tego nie wiedział.

Mysł, że zawartość tamtej drugiej koperty mogłaby mu się nie spodobać, była zawarta już w samej dziwnej propozycji. Nie wiem, kim jestem, powtarzał sobie, ale prędko zdał sobie sprawę, że dobrze zna przynajmniej jedną część siebie: tę, która nie mogłaby przeżyć reszty życia, mając tę wątpliwość.

Dlatego w wieczór poprzedzający wypisanie ze szpitala pozbył się koperty z czekiem i paszportem z fałszywą tożsamością – żeby uniknąć dalszego zastanawiania się nad sprawą. Potem otworzył tę, która miała mu wszystko wyjawić.

W kopercie był bilet kolejowy do Rzymu, trochę pieniędzy i adres pewnego kościoła.

Pod wezwaniem Świętego Ludwika Króla Francji.

Dotarcie na miejsce zajęło mu cały dzień. Usiadł w jednej z ławek w głębi środkowej nawy tego arcydzieła sztuki sakralnej –

doskonałej syntezy odrodzenia i baroku – i pozostał tam przez wiele godzin. Turyści tłumnie zapelniający to miejsce religijnego kultu, zainteresowani wyłącznie sztuką, nie zwracali uwagi na jego obecność. Także i on odkrył ze zdumieniem, że otacza go tyle piękna. Był pewny, że prędko nie zapomni nieznanych cudowności, które chłoneła jego dziewicza pamięć, odkrywając je w otaczających go dziełach.

Jednakże nie wiedział jeszcze, ile to ma wspólnego z nim samym.

Gdy późnym wieczorem grupki turystów ponaglonych nadchodzącą burzą zaczęły opuszczać kościół, ukrył się w jednym z konfesonatów. Nie wiedział, dokąd mógłby się udać.

Zamknięto drzwi, pogaszono światła, wewnątrz oświetlały tylko świece wotywnne. Na dworze zaczął padać deszcz. Pomruki dochodzące z chmur wywoływały drżenie powietrza we wnętrzu świątyni.

I wtedy w kościele echem odbiły się słowa:

– Chodź tu, Marcusie, popatrz tylko.

Tak miał na imię. To, że ktoś wymówił je głośno, nie wywarło na nim spodziewanego wrażenia. Był to dźwięk taki sam jak inne, nic znajomego.

Marcus opuścił schronienie i zaczął szukać człowieka, którego widział tylko raz, w Pradze. Zobaczył go za jedną z kolumn, stojącego naprzeciwko znajdującej się tam bocznej kaplicy. Był odwrócony plecami i nie poruszał się.

– Kim jestem?

Mężczyzna nie odpowiedział. Nadal spoglądał przed siebie: na ścianach małej kaplicy wisały trzy wielkie obrazy.

– Caravaggio namalował te obrazy między rokiem tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym i tysiąc sześćset drugim. Powołanie świętego Mateusza, Święty Mateusz i anioł oraz Męczeństwo świętego Mateusza. Moim ulubionym jest właśnie ten ostatni – rzekł, wskazując obraz po prawej stronie. Potem odwrócił się do Marcusa. – Według tradycji chrześcijańskiej święty Mateusz, apostoł i ewangelista, został zamordowany.

Widoczny na obrazie święty zwrócony był twarzą do ziemi, podczas gdy jego zabójca unosił nad nim miecz, gotów ugodzić go śmiertelnie. Wokół nich widać było uciekających ludzi, porażonych tym, co się miało wydarzyć, i otwierających drogę złu, jakie niebawem miało się dokonać. Mateusz zaś, zamiast poddać się swemu przeznaczeniu, wyciągał ramiona w oczekiwaniu ciosu, który miał mu zadać męczeńską śmierć, a wraz z nią naznaczyć go stygmatami wiecznej świętości.

– Caravaggio był rozpustnikiem, kręcił się w najbardziej rozwiązłych i zepsutych kręgach Rzymu i często, tworząc swoje dzieła, czerpał natchnienie z tego, co widział na ulicach. W tym przypadku z przemocy. Dlatego postaraj się wyobrazić sobie, że w tej scenie nie ma nic świętego ani zbawienego, i spróbuj przedstawić ją sobie z udziałem zwykłych ludzi... I co teraz widzisz?

Marcus zastanawiał się przez chwilę.

– Morderstwo.

Mężczyzna kiwnął powoli głową, a potem powiedział:

– Ktoś strzelił do ciebie w pokoju hotelowym w Pradze.

Z zewnątrz doszły wyraźniejsze odgłosy deszczu, wzmocnione echem błędzącym po kościele. Marcus pomyślał, że mężczyzna pokazał mu ten obraz w dokładnie określonym celu. Żeby go zachęcić do zadania sobie pytania, kim mógłby być w tej scenie. Ofiarą czy katem?

– Inni widzą na tym obrazie zbawienie, ale ja jestem w stanie dostrzec tylko zło – odezwał się Marcus. – Dlaczego?

Okna rozświetliła błyskawica, ukazując uśmiechniętą twarz mężczyzny.

– Nazywam się Clemente. Jesteśmy duchownymi.

Słowa te wstrząsnęły Marcusem do głębi.

– Pewna część twojej świadomości potrafi rozpoznawać znaki zła. Anomalie.

Nie był w stanie uwierzyć, że ma tego rodzaju talent.

Clemente położył mu dłoń na ramieniu.

– Jest pewne miejsce, w którym kraina światła spotyka się ze światem ciemności. To tam wszystko się dzieje, w tej strefie cieni,

gdzie rzeczy są rozmyte, zagmatwane, niepewne. Ty byłeś strażnikiem pilnującym tej granicy. Ponieważ co jakiś czas coś się przez nią przedostaje. Twoim zadaniem było odegnać to z powrotem.

Odczekał chwilę, aby jego słowa rozplynęły się w odgłosach burzy.

– Dawno temu złożyłeś przysięgę: nikt nie będzie mógł się dowiedzieć o twoim istnieniu. Nigdy. Będiesz mógł powiedzieć, kim jesteś, tylko w czasie, jaki oddziela błyskawicę od grzmotu.

W czasie, jaki oddziela błyskawicę od grzmotu...

– Kim jestem? – Marcus starał się to pojąć ze wszystkich sił.

– Ostatnim przedstawicielem pewnego świątobliwego zakonu. Penitencjariuszem. Zapomniałeś o świecie, ale świat zapomniał również o was. Za to w dawniejszych czasach ludzie nazywali was łowcami cieni.

Watykan jest najmniejszym na świecie niezależnym państwem.

Zaledwie pół kilometra kwadratowego w samym centrum Rzymu. Rozciąga się na tyłach Bazyliki Świętego Piotra. Jego granice chronione są pasem potężnych murów.

Dawniej całe Wieczne Miasto należało do papieża. Ale o czasie, gdy w roku 1870 Rzym włączono do nowo powstałego królestwa Włoch, papież wycofał się do tej małej enklawy, gdzie mógł nadal sprawować władzę.

Jako niezależne państwo Watykan posiada terytorium, ludność i organy rządowe. Jego obywatele dzielą się na duchownych i świeckich w zależności od tego, czy złożyli śluby zakonne, czy też nie. Niektórzy mieszkają w obrębie murów, inni poza nimi, na obszarze Włoch, i codziennie spieszą, żeby dotrzeć do swojego miejsca pracy lub któregoś z wielu urzędów albo kongregacji, przechodząc przez jedną z pięciu „bram”, którymi można się dostać do środka.

W granicach murów istnieją infrastruktury i zakłady usługowe. Jest tu supermarket, urząd pocztowy, mały szpital, apteka, sąd, który wydaje wyroki na podstawie prawa kanonicznego, oraz niewielka elektrownia. A także lądowisko dla śmigłowców, a nawet mały dworzec kolejowy, ale do wyłącznego użytku papieża.

Oficjalnym językiem jest łacina.

Oprócz Bazyliki, rezydencji papieskiej i budynków rządowych, na obszarze małego państwa znajdują się bardzo obszerne ogrody i muzea watykańskie, odwiedzane codziennie przez tysiące turystów, którzy przybywają z całego świata i kończą swój obchód, podziwiając z zadartymi głowami cudowne sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej z freskami Michała Anioła przedstawiającymi Sąd Ostateczny.

To właśnie tu wszczęto alarm.

Około szesnastej, dwie godziny przed planowym zamknięciem muzeów, strażnicy zaczęli grzecznie wypraszać gości, nie udzielając żadnych wyjaśnień. W tym samym momencie na pozostałym terenie małego państwa świecki personel został poproszony o udanie się do swoich mieszkań, poza murami lub w ich obrębie. Tym zamieszkałym wewnątrz zakazano wychodzenia z mieszkań aż do wydania nowych dyspozycji. Polecenie odnosiło się również do duchownych, którzy zostali poproszeni o powrót do prywatnych rezydencji lub o schronienie się w którymś z wewnętrznych klasztorów.

Szwajcarscy gwardziści, oddział najemnych żołnierzy papieskich, którego członkowie od 1506 roku są rekrutowani wyłącznie w katolickich kantonach Szwajcarii, otrzymali rozkaz zamknięcia wszystkich wejść do miasta, począwszy od głównego, czyli bramy Świętej Anny. Bezpośrednie linie telefoniczne zostały odcięte, nakazano też wyłączenie telefonów komórkowych.

O godzinie osiemnastej tego chłodnego zimowego dnia otoczone murami miasto zostało całkowicie odizolowane od reszty świata. Nikt nie mógł wejść, wyjść ani komunikować się ze światem zewnętrznym.

Nikt, oprócz dwóch mężczyzn, którzy szli w mroku przez dziedziniec Świętego Damazego i przez Loggie Rafaela.



Elektrownia przerwała dostarczanie prądu do całego obszaru przestronnych ogrodów. Kroki mężczyzn rozbrzmiewały w kompletnej ciszy.

– Musimy się pospieszyć, mamy tylko trzydzieści minut – powiedział Clemente.

Marcus miał świadomość, że odizolowanie nie może trwać długo, gdyż istniała groźba, że ktoś na zewnątrz mógłby powziąć zbytne podejrzenia. Zgodnie z tym, co mu powiedział przyjaciel, została już przygotowana wersja dla mediów: oficjalnym powodem tej swoistej kwarantanny miała być próba generalna nowego planu ewakuacji na wypadek zagrożenia.

Prawdziwy powód musiał jednak pozostać absolutną tajemnicą.

Księża zapalili latarki, wchodząc w głąb ogrodów, które zajmują dwadzieścia trzy hektary, połowę całego obszaru Państwa Watykańskiego, i dzielą się na ogród włoski, angielski oraz francuski, a podziwiać w nich można okazy flory pochodzące ze wszystkich zakątków świata. Ogrody watykańskie były dumą wszystkich papieży. Wielu z nich spacerowało, medytowało i modliło się wśród rosnących tu roślin.

Marcus i Clemente szli alejkami wzdłuż żywopłotów z bukszpanu, troskliwie przycinanych przez ogrodników, jakby były rzezbami z marmuru. Przechodzili pod wysokimi palmami i cedrami libańskimi przy akompaniamencie szmerów dochodzących z setki fontann ozdabiających park. Zagłębili się w założonym na życzenie Jana XXIII rosarium, w którym wiosną kwitną róże noszące imię tego świątobliwego papieża.

Znajdujące się po drugiej stronie wysokich murów ulice Rzymu wypełniał chaotyczny ruch pojazdów. Ale tu panowała absolutna cisza i spokój.

Mimo wszystko nie można nazwać tego spokojem, pomyślał Marcus. A przynajmniej nie w tym momencie. Został on zniszczony przez to, co wydarzyło się tego popołudnia, kiedy dokonano odkrycia.

W miejscu, do którego kierowali się dwaj penitencjariusze,

przyroda nie została udomowiona jak w pozostałej części parku. We wnętrzu tych zielonych płuc miasta znajdowała się strefa, w której drzewa i inne rośliny mogły rosnać swobodnie. Dwuhektarowy zagajnik.

Jedynie zabiegi, jakim poddawano go od czasu do czasu, polegały na usuwaniu suchych gałęzi. Tym właśnie zajmował się ogrodnik, który podniósł alarm.

Marcus i Clemente wdrapali się na małą górkę. Dotarłszy na szczyt, skierowali światło latarek w stronę niewielkiej leżącej za nią dolinki, w której watykańska żandarmeria wyznaczyła mały obszar, otaczając go żółtą taśmą. Funkcjonariusze przeprowadzili już czynności śledcze i zebrali wszelkie ślady, po czym otrzymali polecenie opuszczenia tego miejsca.

Żebyśmy mogli przyjść my, skonstatował Marcus. A potem podszedł do granicy wyznaczonej taśmą i oświetlił latarką obiekt widniejący za nią.

Ludzki tułów.

Był nagi. Przywiódł mu natychmiast na myśl Tors Belwederski – gigantyczny, okaleczony pomnik Herkulesa przechowywany właśnie w muzeach watykańskich – z którego czerpał natchnienie Michał Anioł. Ale w szczątkach nieszczęsnej kobiety, która padła ofiarą tak zwierzęcego potraktowania, nie było niczego poetyckiego.

Ktoś równiutko odciął jej głowę, nogi i ręce. Leżały kilka metrów dalej, przemieszane z ciemnymi podartymi ubraniami.

– Wiemy, kto to jest?

– Jedna z zakonnice – odparł Clemente. – Po drugiej stronie tego zagajnika jest mały klasztor klauzurowy – dodał, wskazując przed siebie. – Jej tożsamość jest tajemnicą, to jedna z norm zakonu, do którego należała. Ale nie sądzę, żeby w tym momencie robiło to jakąś różnicę.

Marcus pochylił się, żeby lepiej się przyjrzeć. Biała skóra, małe piersi i krocze odsłonięte z całą bezwstydną. Bardzo krótkie, jasne włosy, wcześniej ukryte pod welonem, teraz wi-

doczne na odciętej głowie. Niebieskie oczy uniesione do nieba, jakby w błagalnej prośbie. Penitencjariusz skierował na nią pytające spojrzenie. Kim jesteś? Istnieje bowiem przeznaczenie jeszcze gorsze niż śmierć: umrzeć bez imienia. Kto ci to zrobił?

– Czasami zakonnice spacerują po tym lasku – ciągnął Clemente. – Tu prawie nigdy nikt nie przychodzi, więc mogą się modlić bez przeszkód.

Ofiara wybrała klauzurę, rozmyślał Marcus. Złożyła śluby, żeby razem z innymi siostrami odizolować się od ludzi. Nigdy już nikt nie miał ujrzeć jej twarzy. A za to stała się narzędziem obscenicznego obnażenia czyjejs niegodziwości.

– Trudno pojąć wybór dokonany przez te zakonnice, wiele osób uważa, że mogłyby czynić dobro między ludźmi, zamiast zamykać się w klasztornych murach – zauważył Clemente, jakby czytał w jego myślach. – Ale moja babcia mawiała zawsze: „Nie masz pojęcia, ile razy te siostrzyczki uratowały świat swoimi modlitwami”.

Marcus nie wiedział, czy w to uwierzyć. Miał świadomość, że w obliczu takiej śmierci jak ta świat nie może uznać, że został uratowany.

– Przez wiele wieków nie wydarzyło się tu nic podobnego – dodał jego przyjaciel. – Nie byliśmy na to przygotowani. Żandarmeria przeprowadzi wewnętrzne śledztwo, ale nie ma środków, żeby udźwignąć tego rodzaju sprawę. Dlatego nie wezwano lekarza sądowego ani techników policyjnych. Nie będzie sekcji zwłok, odcisków palców ani badań DNA.

Marcus odwrócił się i rzucił mu ostre spojrzenie.

– W takim razie dlaczego nie zwrócić się o pomoc do włoskich władz?

Zgodnie z traktatami łączącymi oba państwa, Watykan może w razie konieczności poprosić włoską policję o pomoc. Ale tę pomoc wykorzystywano tylko do kontrolowania licznych pielgrzymów, którzy napływali do Bazyliki, lub do zapobiegania drobnym przestępstwom, jakie zdarzały się na placu

przed nią. Włoska policja nie miała prawa działać poza granicą wyznaczoną przez podstawę schodów prowadzących do drzwi Bazyliki Świętego Piotra. Chyba że specjalnie by ją o to poproszono.

– Nie zwrócą się, to już postanowione – zapewnił go Clemente.

– Jak mam prowadzić śledztwo w obrębie Watykanu, żeby nikt tego nie zauważył lub, co gorsza, nie odkrył, kim jestem?

– Nie będziesz go prowadził tutaj. Kimkolwiek był sprawca, wszedł tu z zewnątrz.

Marcus nie mógł się w tym połapać.

– Skąd o tym wiesz?

– Znamy jego twarz.

Odpowiedź zaskoczyła Marcusa.

– Ciało znajduje się tu co najmniej od ośmiu, dziewięciu godzin – ciągnął Clemente. – We wczesnych godzinach porannych kamery ochrony zarejestrowały podejrzanego mężczyznę, który kręcił się w okolicy ogrodów. Był ubrany jak posługacz, ale okazuje się, że skradziono ubranie robocze.

– Dlaczego właśnie on?

– Sam popatrz.

Clemente podał Marcusowi wydruk ujęcia kamery. Przedstawiał mężczyznę w stroju ogrodnika z twarzą częściowo ukrytą pod daszkiem czapki. Białą, w nieokreślonym wieku, ale z pewnością po pięćdziesiątce. Miał przewieszoną przez ramię szarą torbę, na której widać było ciemniejszą plamę.

– Żandarmi są przekonani, że miał w niej mały toporek lub podobny przedmiot. Musiał go użyć niedawno, a plama, którą widzisz, to prawdopodobnie krew.

– Dlaczego właśnie toporek?

– Ponieważ to jedyne narzędzie, jakie mógł tu znaleźć. Wykluczone, żeby udało mu się wnieść coś takiego z zewnątrz, przejść przez bramki kontrolne, stanowiska strażników i wykrywacze metali.

– A jednak zabrał je z miejsca zbrodni, na wypadek gdyby

żandarmi zwrócili się do włoskiej policji?

– Przy wyjściu sprawy wyglądają dużo prościej, bo nie ma kontroli. Poza tym, żeby wyjść, nie zwracając na siebie uwagi, wystarczy wmieszać się w tłum pielgrzymów albo turystów.

– Narzędzie ogrodnicze...

– Ciągłe sprawdzają, czy czegoś nie brakuje.

Marcus przyjrzał się znowu szczątkom młodej zakonnicy. Bezwiednie ścisnął medalik, który nosił na szyi. Przedstawił Michała Archaniola – opiekuna penitencjariuszy – dzierżącego w dłoni ognisty miecz.

– Musimy iść – rzucił Clemente. – Nasz czas się skończył.

W tym momencie od zagajnika dobiegły ich ciche dźwięki. Zbliżyły się do nich. Marcus spojrzął w tamtym kierunku i zobaczył gromadę cieni wyłaniających się z mroku. Niektóre niosły świece. W migoczącym świetle płomyków rozpoznał grupę postaci z nakrytymi głowami i twarzami ukrytymi za ciemnymi welonami.

– To siostry zakonne – odezwał się Clemente. – Przyszły ją zabrać.

Za życia tylko one mogły znać wygląd ofiary. Po jej śmierci były jedynymi, które mogły zająć się szczątkami. Tak mówiła reguła.

Mężczyźni usunęli się, żeby zrobić im miejsce. Dzięki temu zakonnice otoczyły w milczeniu nieszczęsnego ciało. Każda wiedziała już, co ma robić. Kilka z nich rozpostarło białe prześcieradła, inne zebrały z ziemi odcięte członki.

Dopiero wtedy Marcus zidentyfikował ten dźwięk. Jednolity szmer głosów dochodzący spod welonów okrywających ich twarze. Litania. Modliły się po łacinie.

Clemente chwycił przyjaciela za rękę, żeby go odciągnąć. Marcus już miał ruszyć za nim, ale w tym momencie obok niego przeszła jedna z siostr. Wyraźnie usłyszał wypowiedane słowa.

– *Hic est diabolus.*

Tu przebywa diabeł.

1

U stóp Clemente rozciągał się chłodny, nocny Rzym.

Nikt by nie powiedział, że ubrany na czarno mężczyzna oparty o kamienną balustradę tarasu na wzgórzu Pincio to duchowny. Przed nim rozciągały się budowle i kopuły, nad którymi górowała Bazylika Świętego Piotra. Dostojna panorama, niezmieniona od wieków, mrowiąca się ludźmi zajętymi swymi drobnymi, codziennymi sprawami.

Clemente kontemplował widok miasta, nie zwracając uwagi na odgłos zbliżających się za jego plecami kroków.

– A więc jak brzmi odpowiedź? – zapytał, zanim jeszcze Marcus stanął obok niego. Byli sami.

– Nic.

Ani trochę niezaskoczony tym ksiądz kiwnął głową, a potem odwrócił się, żeby spojrzeć na swego kolegę penitencjariusza. Marcus miał zniechęconą minę, a jego twarz pokrywał kilkudniowy zarost.

– Dziś mija już rok.

Clemente milczał przez chwilę, patrząc mu uważnie w oczy. Wiedział, co Marcus miał na myśli: dziś mijała pierwsza rocznica odnalezienia w ogrodach watykańskich pociętego ciała zakonnic. Mimo upływu dwunastu miesięcy śledztwo penitencjariusza nie dało żadnego rezultatu.

Żadnego tropu, żadnej wskazówki, nawet jednego podej-

znanego. Nic.

– Zamierzasz się poddać? – zapytał.

– Czy mógłbym tak postąpić? – ostro odparł pytaniem na pytanie Marcus. Ta historia wystawiła go na ciężką próbę. Polowanie na człowieka z ujęcia kamery ochrony, białego, trochę po pięćdziesiątce, nie przyniosło rezultatu. – Nikt go nie zna, nikt go nigdy nie widział. A najbardziej denerwuje mnie to, że mamy jego twarz. – Zamilkł na chwilę i wbił wzrok w przyjaciela. – Musimy jeszcze raz skontrolować świeckich, którzy są zatrudnieni w Watykanie. A jeśli to nic nie da, będziemy musieli przejść do duchownych.

– Skoro żaden z nich nie przypomina człowieka ze zdjęcia, po co tracić czas?

– Kto może nas zapewnić, że morderca nie dostał wsparcia od kogoś wewnątrz Watykanu? Kogoś, kto zapewnił mu osłonę? – Marcus nie dawał za wygraną. – Odpowiedzi znajdują się w granicach watykańskich murów i to tam powinienem prowadzić śledztwo.

– Wiesz przecież, że jest pewna przeszkoda. Nie można tego robić z powodu utajnienia sprawy.

Marcus wiedział, że sprawa poufności to tylko wymówka. Po prostu bano się, że wtykając nos w watykańskie sprawy, mógłby przypadkiem odkryć coś, co nie miało związku z tą historią.

– Zależy mi tylko na schwytaniu mordercy – powiedział, stając naprzeciwko przyjaciela. – Musisz przekonać pałatów, żeby usunęli tę przeszkodę.

Clemente machnął ręką, natychmiast odrzucając tę możliwość, jakby uznał pomysł za zwykłą głupotę.

– Nie wiem nawet, kto miałby wystarczającą władzę, by to zrobić.

W dole, przez piazza del Popolo, przechodziły gromadki turystów udających się na nocną wycieczkę po mieście. Czy mogli wiedzieć, że właśnie tu rosło dawniej drzewo orzechowe, pod którym został pochowany Neron, „potwór”, który

według plotki wymyślonej przez jego wrogów, w roku 64 kazał podpalić Rzym. Mieszkańcy miasta sądzili, że to miejsce bywa nawiedzane przez demony. Z tego powodu około roku tysięcznego papież Paschalis II kazał spalić to drzewo razem z ekshumowanymi prochami cesarza. Potem wzniesiono tu kościół Santa Maria del Popolo, w którym wciąż jeszcze na głównym ołtarzu przechowuje się płaskorzeźby przedstawiające papieża zamierzającego ściąć drzewo Nerona.

Taki jest Rzym, przebiegło przez myśl Marcusowi. Miejsce, w którym każda objawiona prawda kryje w sobie kolejny sekret. I zarazem miasto owiane legendą. W związku z tym nikt nie może naprawdę wiedzieć, co kryje się za tym czy owym. A wszystko po to, żeby zbytnio nie niepokoić dusz mieszkańców. Drobnych, nic nieznaczących istot, nieświadomych wojny, jaka bezustannie i potajemnie toczyła się i toczy wokół nich.

– Będziemy musieli wziąć pod uwagę możliwość, że nigdy go nie schwytemy – powiedział Clemente.

Marcus nie godził się jednak z tego rodzaju kapitulacją.

– Kimkolwiek on jest, wiedział, jak się poruszać w obrębie murów. Musiał znać punkty i procedury kontrolne, żeby obejść środki bezpieczeństwa.

To, co zrobił siostrze zakonnej, było brutalne, iście zwierzęce. Ale sposób, w jaki uknuł zbrodnię, krył w sobie pewną logikę, pewien plan.

– Zrozumiałem jedną rzecz – zapewnił stanowczym tonem Marcus. – Wybór miejsca, wybór ofiary, sposób popełnienia zabójstwa... to jest pewne przesłanie.

– Do kogo?

Hic est diabolus, pomyślał Marcus. Do Watykanu zakradł się diabeł.

– Ktoś chce dać do zrozumienia, że w Watykanie dzieje się coś strasznego. To jest dowód, nie rozumiesz? To jest test... On przewidział to, co się miało zdarzyć: że wobec trudności w dotarciu do odpowiedzi śledztwo spełźnie na niczym. I że

władze Watykanu będą wolały wydać się raczej na pastwę wątpliwości, niż dokopywać się dna, ryzykując wyjawienie nie wiadomo czego. Może nawet jakiejś innej pogrzebanej prawdy.

– Rzucasz poważne oskarżenie, wiesz o tym, prawda?

– Ale czy ty nie rozumiesz, że właśnie tego chce morderca? – ciągnął niewzruszenie Marcus.

– Skąd masz taką pewność?

– Do tej pory powinien już zabić znowu. Skoro tego nie zrobił, to tylko z jednego powodu: wystarcza mu świadomość, że podejrzenie zapuściło już korzenie i że okrutne zabójstwo biednej zakonnicy uznano za rzecz drobną, ponieważ istnieją straszliwe tajemnice, które bardziej zasługują na to, żeby ich strzec.

Clemente, jak zwykle, był bardziej ugodowy.

– Nie masz na to dowodów. To tylko teoria, owoc twoich przemyśleń.

Marcus jednak nie rezygnował.

– Proszę cię, musisz dać mi okazję, żebym mógł z nimi porozmawiać, być może zdołałbym ich przekonać. – Miał na myśli kościelnych hierarchów, od których przyjaciel otrzymywał instrukcje i polecenia.

Od czasu, gdy trzy lata wcześniej zabrał go ze szpitalnego łóżka w Pradze, pozbawionego pamięci i pełnego obaw, Clemente nigdy go nie okłamał. Często czekał na odpowiedni moment, żeby mu wyjawić jakieś rzeczy, ale zawsze mówił prawdę.

Dlatego Marcus miał do niego zaufanie.

W końcu, można by powiedzieć, że Clemente stanowił teraz jego rodzinę. W ciągu tych trzech lat, jeśli nie liczyć rzadkich wyjątków, był jedyną osobą, za pośrednictwem której Marcus kontaktował się z ludźmi.

– Nikt nie może dowiedzieć się o tobie i o tym, co robisz – powtarzał mu stale. – Chodzi o to, żeby przeżyło to, co reprezentujemy, i żeby los nie obszedł się źle z zadaniem, jakie nam powierzono.